

# OPIEKUN DZIATWY

BEZPŁATNY DODATEK DO „GŁOSU WĄBRZESKIEGO”

NR. 24

WĄBRZEŻNO, DNIA 28 WRZEŚNIA 1935 ROKU

ROK 5

## Jaskółcze loty.

Opowiadanie.

(Napisał Władysław Dunarowski)

Dziadek pokiwał głową i wyszedł z pokoju. Był oszołomiony do reszty. Wieść o zamordowaniu austriackiego arcyksięcia w Sarajewie nie nasunęła mu tyle refleksyj, ile ten krótki pobyt w tamtym pokoju. A jednak nie miał odwagi zwierzyć się komuś, co czuł i co myślał. Tylko w duchu szeptał do siebie:

— Jeśli nieświadome dzieci coś przeczują, znak, że stanie się coś nadzwyczajnego... coś — co wzięło początek z naszej krwi, z naszych wysiłków „daremnych”, z naszych pragnień i marzeń najgorętszych... Godzina się zbliża.

Podreptał do jadalni, gdzie nakrywano stół. Lecz do obiadu jakoś nikt nie prosił. Stary pan Galewski tak miał rozwichrzone myśli, że wcale na ten fakt nie zwrócił uwagi. Usiadłszy pod oknem, zaczął wsłuchiwać się w symfonię wiatru, przerywaną od czasu do czasu pomrukiem pękających chmur.

W kuchni tymczasem wrzało od zamieszania. Dziewczyna, sprzątająca pokój starszego pana, przybiegła z wieścią, że kot udusił kanarka. Straszny wypadek! Kanarek był ulubieńcem starszego pana. Coprawda niewiadomo, dlaczego tak sobie pan upodobał tego kanarka, który dawno przestał śpiewać.

Kucharka jest bezradna. W rękach trzyma święcone ziele, które zamierzała przyłożyć na ogień, w celu rozpedzenia chmur, lecz dowiedziawszy się o wypadku, nie wie, co najpierw uczynić. Gdyby się starszy pan dowiedział, zachorowałby napewno, gdyż i tak ledwo dycha. Ale w jaki sposób ten potępieniec — kot — znalazł się na pokojach — nie może pojąć.

O wypadku dowiedziała się także pani. Nakazuje surowe milczenie, a parobkowi każe natychmiast wyprowadzić konia i gnać co sił do miasta.

Za chwilę parobek był gotów. Pani zwraca mu uwagę na szczegól najważniejszy, o którym zapomnieć nie może. Mianowicie kanarek musi mieć jak tamten, szare pióra na końcach skrzydeł. — Kuba jest wściekły. Po taką mizerotę musi gnać tyle mil i na taki czas! Piorun gotów trzasnąć, bo grzmi i bly-

ska się szalenie. Nawet koń zaczyna się strachać.



Spóźniony obiad kończył się właśnie. Teraz każdy, kto żyw, usiłuje dziadzia czemś zająć, by nie myślał o poobiedniej drzemce, a zechciał poczekać na spóźnioną kawę. Podobno kucharka lamentuje, że skutkiem niepogody wcale nie chce się palić.

Młody pan Galewski czyta gazety, przeładowane wypadkami w Sarajewie. Dziadzio jest podniecony. Przepowiada wojnę. Wszyscy są ciekawi epizodów. Dziadzio powtarza swe przeżycia z 65 roku. Ale zmęczenie bierze przewagę. Więc całkiem niedyskretnie ziewając, prosi, aby ktoś pomógł kucharce dmuchać w ogień, albo on zrezygnuje z kawy i czekania. Właśnie zjawia się kawa, więc dziadzio zostaje. Przy stole zaczyna się objawiać silne zdenerwowanie. Pani co chwilę wychodzi. Nawet chłopcy mają sowałe miny.

Po dłuższej chwili wraca pani Galewska i głosem pełnym ulgi obwieszcza, że burza minęła. Żywe spojrzenia dziękują jej za wiadomość.

Stary pan Galewski ma dziś sen niezwykle. Raczej nie sen, ale powtórzenie rzeczywistości z przed pięćdziesięciu lat. Powtórzenie tego, co przeżył w lasach Kampinowskich i Świętokrzyskich, co przecierpiał w nadziei i co nalykał trucziny w rozpacz. — Wszystko to staje przed nim w świątecznej szacie. Znow lasy tak szumią i tak pachną, ptaki znow tak śpiewają i taki rozgwar na daleki świat rzucają — że!...

Dziadzio przeciera oczy i uszom nie wierzy. — Czyżby przedłużenie snu?... Nie; rzeczywisty ptasi śpiew w poko-

ju! Jak to być może? Przecież kanarek zamilkł przed rokiem i od tego czasu ani jednej melodji nie wydobył z gardziółka.

Zrywa się starzec i pędzi do klatki. Patrzy, ogląda...

— Niby ten sam... te same szare pióra... Boże, jak to pojąć, jak zrozumieć?!

Spojrzał na świat, odświeżony burzą i już w uściskach słonecznych promieni tonący. A gdy tak patrzył, oderwał się jeden z tych promieni, wpadł przez źrenicę do jego duszy i niby laurem uwieńczył jego rozdygotane serce.

Wtedy porwał starzec klatkę i z młodzieńczą brawurą pobiegł do salonu.

— Patrzcie i słuchajcie! Ten szaleńiec, którego dawno pogrzebaliście w myślach, znow śpiewa! Wierzyć się nie chce, ale tak jest. Chyba i wy wszyscy słyszycie? Mówcie, bo ja własnym uszom nie wierzę.

Wpadli także chłopcy, zwabieni donośnym śpiewem kanarka. Przy wejściu usłyszeli dokończenie jakiegoś uroczystego zdania:

— ...była i znow będzie!

— O czym dziadunio mówi? — pytają malcy w zaciekawieniu.

— Dowiedcie się później, gdy już prawdziwymi okrętami będziecie pruli fale prawdziwego morza polskiego... gdy Biały Orzeł wzbije się jeszcze wyżej, niż ten twój, Jurku; — gdy pod jego wejrzeniem znajdą się wszystkie polskie wsie i miasta.

Od tego czasu minęło sporo lat. — Gdyby ktoś z czytelników chciał odnaleźć dawnego Żdzicha, niech jedzie do Gdyni, niech wsiądzie na okręt „Wicher” i niech szuka między marynarzami. Jestem przekonany, że pozna go natychmiast.

Z odszukaniem Jurka byłaby sprawa nieco trudniejsza, częściej bowiem niż na ziemi — przebywa na żelaznym ptaku, szybującym wysoko w powietrzu. Dziecinne fantazje ziściły się. Jego ptak wzbija się wyżej, niż sięga lot jaskółek. Obecnie ma inne marzenie: chciałby przeskoczyć ocean, by na drugiej półkuli zatknąć zwycięski sztandar i wyrycić imię swej odrodzonej Ojczyzny.

(Koniec)

## Walka o duszę

Po skończonej kolacji u państwa W. zaproszono p. Romana, starego już kawalera o opowiadanie czegoś niesamowitego, na co ten po dłuższym namyśle się zgodził i rozpoczął opowiadać — jak rzekł — starą legendę, którą mu nieraz opowiadał dziadek, powstaniec z 1863 roku...

W wysokich i niedostępnych prawie górach żył sobie niegdyś nieuchwytny i nieustraszony zbójca Mer-Lew, który nie znał nad nikim litości, bił, kradł, mordował; nie pamiętał, że jest Bóg Sędzia, który wynagradza uczynki dobre, a srogo karze wszelkie zło. Wiedział on, że jest postrachem całej ludności i od nikogo niezależnym. Więc wspólnie z dobraną bandą grasował nieustannie po okolicznych wsiach i miasteczkach, kradnąc mienie, zapracowane w pocie czoła. Znalazło się paru odważniejszych ludzi, co to chcieli zbója zgładzić, lecz daremne były ich wysiłki, omal że wszyscy na tej wyprawie nie poginęli. Ci zaś, co uszli cało, z całą stanowczością twierdzili, że ów Mer-Lew trzymać musi ze złym duchem. Inni, którzy mieli też chęć zgładzić Mer-Lwa, na wieść o nieudanej wyprawie, stracili wszelką otuchę — mniemając, że żadna ludzka siła tego zbója nie pokona.

— Cóż teraz począć? — pytano...

...Żył sobie w tych okolicach pustelnik Andrzej, prowadzący pogobojny żywot, dlatego też uważano go za świętego. Dowiedział się i on o tym zbójcu, a słysząc narzekania ludu, głęboko myślał nad sposobem uratowania go od zatracenia wiecznego. Natchniony od Boga, wydobyl ze starej skrzyni duży medaljon ze szczerzego złota.

Andrzej w młodym wieku był znakomitym artystą — rzeźbiarzem, więc postanowił w medaljonie wykuć piękną postać Chrystusa, wiszącego na krzyżu. Wziął się tedy do pracy z wytrwałością, modląc się do Pana Boga o nawrócenie marnotrawnego syna...

Po niedługim czasie medaljon był gotowy. Wybrał się więc do zbójców Andrzej i po wielu trudach dotarł do ich obozu. Siedział Mer-Lew w otoczeniu swej bandy, był zasępiony, ponury, jak głucha noc. Skoro ujrzał pustelnika, zapytał się:

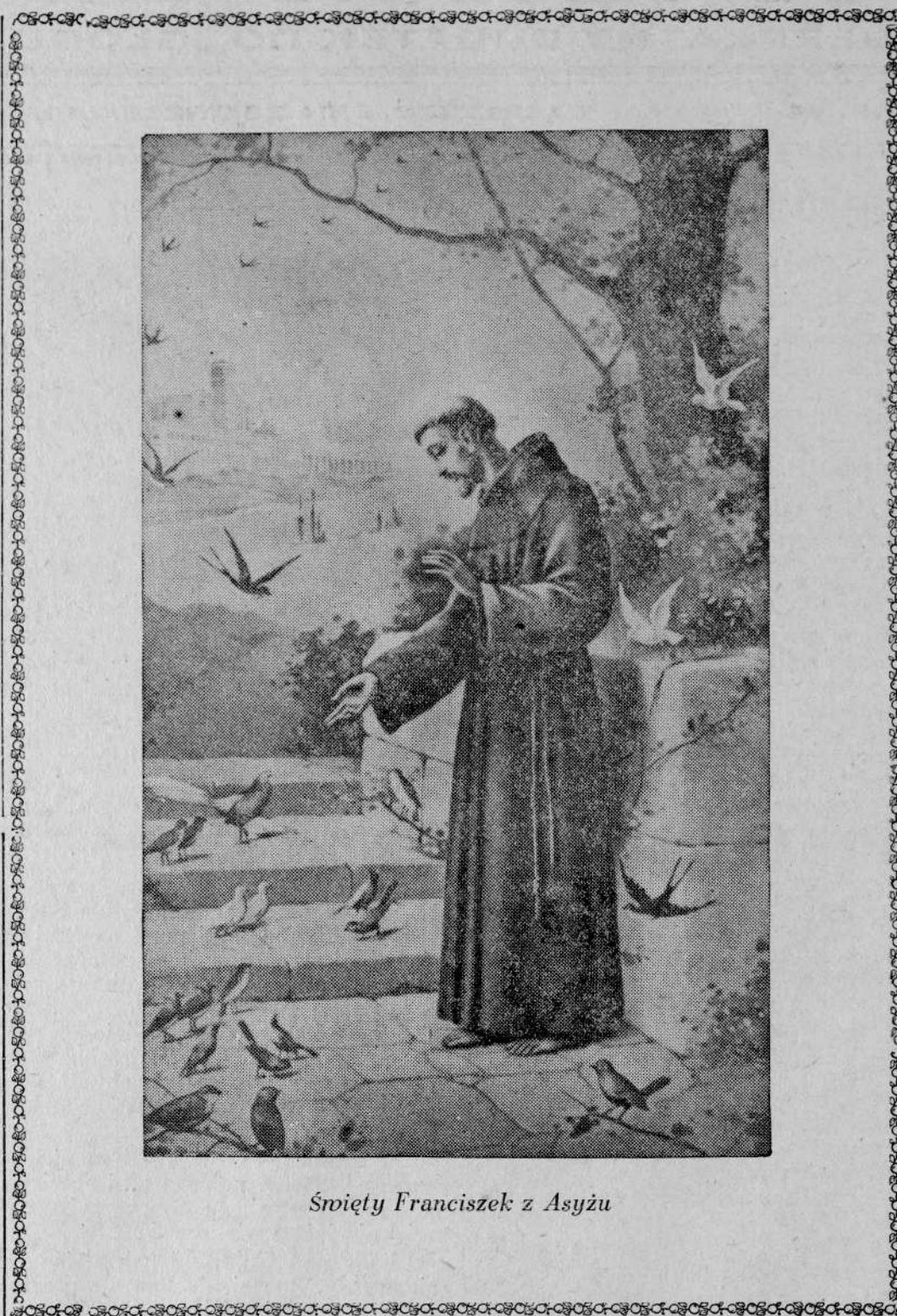
— Co ciebie sprowadza do mnie pustelniku Andrzeju?

— Ano przyjacielu, przyniosłem ci w dowód upomnienia się, ten oto upominek.

Mer-Lew wziął z rąk pustelnika medaljon i stanął jak wryty.

— To dla mnie, ten medaljon złoty?

— Tak, to dla ciebie drogi synu! ---



Święty Franciszek z Asyżu

— Ha! ha!... drogi synu, mówisz mi, — roześmiał się rubasznie.

Mer-Lew olśniony pięknym medaljonem, powoli go otworzył. Oczy jego olśnił blask złotego krzyża i Chrystusa, misternie wykonanego — tuż obok Głowy Ukrzyżowanego była gołębica, która, zdawaby się mogło, starała się wyrwać ciernie ze zbolalej Jego głowy. Na drugiej połowie medaljonu widniał obrazek, malowany ręką pustelnika. — Obrazek przedstawiał leżącą na łożu

śmierci niewiastę, żegnającą swego 12-letniego synka. Na dole umieszczony był napis: „Synu, pamiętaj, że raz tylko przyjdzie ci umrzeć, a potem — sąd“.

— To słowa mej matki — krzyknął Mer-Lew, skąd ty je znasz? — zapytał skwapliwie.

Andrzej ze spokojem wziął herszta bandy na stronę i coś mu zaczął długo opowiadać... Otoczenie zaś, ta cała ban-

(Dokończenie na str. 3)

## WALKA O DUSZĘ

(Dokończenie ze str. 2)

da, przyglądająca się tej scenie, była do ostatniego stopnia rozzłoszczona, ale i zdumiona odwagą pustelnika Andrzeja wobec tak groźnego ich władcy.

— Tak, teraz rozumiem — rzekł na głos Mer-Lew — toś ty dysponował moją matkę na tamten świat. Pamiętam jak mnie wówczas pocieszałeś i uczyłeś religii, której piąte przykazanie jest: *Nie zabijaj!* Czy jednak Bóg Stwórca i Pan nasz za wszystkie moje zbrodnie udzieli mi przebaczenia?

— Tak, mój synu! Ojciec nasz niebieski, zawsze przyjmie do Siebie każdego marnotrawnego syna, chociażby był jaknajwiększym grzesznikiem, skoro tylko szczerze żałuje swych grzechów.

Mer-Lew opuścił swych towarzyszy pojednal się z Bogiem, ale mimo to nie mógł sam sobie wybaczyć. Dniem i nocą dręczyły go widziadła dawnych zbrodni. Zmożony chorobą i cierpieniem, skończył swe życie w eichem mieszkanku pustelnika Andrzeja. Tej ostatniej nocy pustelnikowi, który nad chorym czuwał, śniło się, że o duszę pokutnika toczy się straszna walka pomiędzy Aniołem Stróżem a szatanem. Ten ostatni, wciąż śmiał się szyderczo, chępiąc się tyłu zbrodni Mer-Lwa.

Anioł ze spokojem pokazał djabłu medaljon, z którym zbójca do ostatniej chwili się nie rozstawał. Medaljon złany był łzami skruchy. Skoro szatan to ujrzał, zgrzytnął i umknął z pola walki.

Ocknął się pustelnik Andrzej. Przez okienko wdarły się do pustelni pierwsze promienie słońca. Spojrzał na nieruchomo leżącego pokutnika Mer-Lwa. Dusza jego uleciała przed chwilą przed Tron Boga. Na twarzy jego igrał lekki uśmiech spokoju i szczęścia...

Wiktor Promski.

## SPIO SZEK.

Kukuryku! Kukuryku!  
Wstawaj, wstawaj już chłopczyku,  
Na śmietniku kogut pieje,  
Złote blaski słonko sieje.

A ty w łóżku  
Śpisz leniuszku?

Popatrz w okno, jak jaskółka  
W chyżym locie kreśli kółka,  
Wróble wrzeszczą, brzęczą pszczoły,  
Zewsząd słyhać gwar wesoly.  
Spałeś przecie nockę całą,  
Czy to jeszcze ci zamało?  
Zerwij-że się prędko, żwawo,  
Bierz pończoszki, lewą, prawą,  
Obuj jedną, drugą nogę  
I hop z łóżka na podłogę.

(szyna)



Mali abisyńczycy  
z misji katolickiej w Kaffa.

o **czem**  
**ptaszki rozmawiały**

(Bajka)

Piękny, słoneczny dzień wschodził nad światem. Tu i ówdzie słyhać brzęk pszczoł, szmer liści, a ponad tem melodyjnie płynął śpiew ptaszek. O tej porannej porze wracał leśniczy ze swego patrolu nocnego. Nagle usłyszał głos słowika: — O dobry człowieku, kiedy wracasz do domu, śpiesz się, bo spóźnisz! — Słyszając to, leśniczy przyspieszył kroku, aby zejść szybciej do domu.

A tymczasem do jego chatki, gdzie czekała go matula, ktoś zastukał do okienka.

— Kto tam? — zapytała matka.

— To ja, twój syn Jan, otwórz.

I nagle wpadli dwaj bandyci i poczęli turbować biedną staruszkę.

Leśniczy tymczasem pędził wprost, a gdy się zbliżał do chatki, usłyszał wołanie na pomoc. Szybko przebiegł jeszcze przestrzeń, dzielącą go od domu. Wpadł do izby, a tu matka leży we krwi na podłodze.

— Co się tu stało? — pyta.

— Synu, tam za ścianą są bandyci, ratuj się i uciekaj!

— Nie mateczko! nie opuszczę cię!  
W tej chwili bandyci wpadli na leśniczego. Huk strzału przeszył powietrze. Walka o życie — o matkę... A ona w kornej modlitwie prosi Boga o pomoc. Huk... znowu strzał... padł pierwszy bandyta — drugi ranny, inni uciekli... Leśniczy zabrał ranego i przyniósł do domu, ułożył i razem z matką opatrzył. Wieczór się zbliżał i Jan —

leśnik wyruszył w głąb lasu, pełniąc swój obowiązek.

Tymczasem ptaszki zwołały posiedzenie. Chcąc, aby ich nikt nie podsłuchał, wystawiły na skraju lasu sowę. Leśniczy, oparty o drzewo, słucha dziwnych obrad, toczących się w języku ludzkim: — Koledzy i koleżanki, jam wasz brat, a wy moimi, kiedy nieprzyjaciele się ku nam zbliżają, bronimy się. To samo czynią ludzie. Lecz cóż to znaczy. Jeśli tu nasza siostra jaskółka ma dzieci, a one jej nie kochają, nie szanują, jako swej matki, wówczas nieprzyjaciel kukulka zepsuje im gniazdko i matkę zabije, a jaskółeczki zostaną sierotami i któż im pomoże. Tu rozpoczęły się gwary ptaszek. — Ale gdy kochamy tę matkę — ciągnął dalej słowik — to życie swe damy, a zwyciężymy. —

Liczne brawa poczęły się sypać z dzióbeków ptaszeczych.

A leśniczy stał i płakał...

Plakał długo, z radości, że kocha swą matkę, co mówiły ptaszki same. I wolno, wolno, wracał do domu. Matula wyszła na próg i przywitała syna nowiną:

— Ten napastnik raniony, któregośmy opatrzyli, był twoim kolegą, a jak sam wyznał, nie zna matki ani ojca. Ale pragnie twego przebaczenia i chce wieść żywot prawy.

Promień słoneczny wdarł się do chaty, las zaszumiał cudną swą symfonią i dzielił radość Janka-leśnika.

A Janek w gorącej modlitwie Bogu dziękował, że pokierował jego kroki, tak, aby mógł stanąć w obronie matki.

H. K. Silbermagel.

Józef Stańczewski.

## B A Ł T Y K.

Bądź pozdrowiony, o polski Bałtyku!

Kocham spienione fale twoich szeregów,

Gdy się rzucają wśród wichrów ryku

Na łodzi rybackie, mola i brzęgi;

Albo gdy ścięte w bojowym swym szyku,

Milczą zakłęcie, aż znikną znów śniegi

Przy pierwszym wiosny cieplejszym wietrzyku,

A Wisłą spłyną ostatnie kier zbiegi.

Kiedy stanąwszy u kraju wybrzeża,

Słucham samotnie piskliwych mew krzyku,

Albo rzewnego twej fali pacierza,

Czuje, że w sercu się struna odzywa

Wspólnej harmonii, a z ust się wyrwa

Hymn uwielbienia dla ciebie, Bałtyku!

**Kącik młodego poety**

Najważniejsze warunki wiersza polskiego.

1) RYTM. Rytmem nazywamy jednostajne przeplatanie zgłosek akcentowanych i nieakcentowanych. Najważniejszym warunkiem wiersza polskiego jest rytm, który polega na tym, że niektóre zgłoski we wszystkich wierszach stale są akcentowane.

2) RYM. Drugim warunkiem wiersza polskiego jest *rym*, polegający na zgodności końcówek ostatnich wyrazów wiersza, np. lawa — zjawą; ton — dzwon; lasie — niesie i t. d.

Rym bywa dwojaki: a) żeński, gdy rymują się wyrazy o dwu lub więcej zgłoskach, a wtedy polega on na jednakowym brzmieniu przedostatniej samogłoski i całej następnej zgłoski (syłaby) jak np.: *żona — korona; rada — wpada; glowa — mowa*.

b) Męski — gdy rymują się wyrazy jednozgłoskowe, a wtedy końcówki wyrazów powinny brzmieć jednakowo, począwszy od ostatniej samogłoski, np. *brat — swat; syn — młyn; tam — bram* i t. d.

3) Trzecim warunkiem wiersza polskiego jest *jednakowa ilość zgłosek* w każdym wierszu, rymującym się. Nie zawsze jednak wszystkie te trzy warunki są obecne, wystarczą dwa, a nawet jeden. Często spotykamy wiersze bez rymów, t. zw. *białe wiersze*, jak to widzimy w wierszu J. Słowackiego:

W niezawiązanej przychodzę koszuli,  
Nie niosę chleba, nie mam nie przy sobie,  
Lecz wy mnie puście do ojca mego,  
Który od dwóch dni jest morzony głodem.

(Dalszy ciąg za tydzień).

~~~~~

## R A D J O D L A D Z I E C I



»WĘDRÓWKA WRÓBŁA«  
WE WTOREK 1. X. O GODZ. 12.15

### KOCHANY WUJASZKU!

Nim rozpocznę me pisanie,  
Witam Cię Wujaszku Panie!  
I co w sercu mojem kryję,  
W mym liściku Ci spisuję.  
Iż Tve pismo wychwalają,  
Bo uciechę dziatki mają.  
To też z rąk Go wyrwiają,  
I z zapalem Go czytają.  
Nawet dziadus też się śmieje,  
Czytając Tve piękne dzieje.  
Mówiąc — brodę ręką gładzi,  
— Czy kto drugi tak poradzi?  
Rozweselać me wnuczeta,  
Co szczebiocą jak ptaszeta,  
Dawać im tyle otuchy  
Czy nie będę z nich miał zuchy  
Więc sumiasty was podkręca,  
Mile krewnych swych zachęca,  
By „Głos” sobie zapisali,  
Niech uciechę mają mali.  
A słowa te tak prawdziwe,  
O! bo dziatki są szczęśliwe.  
Gdy Tve pismo w rękach mają,  
Czegóż się tam nacytają!  
Więc swe główki tłoczą w niego,  
Cóż tam znowu jest nowego  
Dziatwa więc uszczęśliwiona,  
Woła — wielce ucieszona,  
Niech nam żyje złoty ptaszek!  
Nasz „Opiekun” i „Wujaszek”!  
Niech więc w Twej ofiarnej pracy,  
Szczęście Ci Wujaszku sprzyja,  
Bo „Opiekun” wiele znaczy,  
Te życzenia Ci zasyla.

J. Kubikówna

### Uśmiechnij się

#### KĄT WIDZENIA.

— Mamusiu, a dla kogo mamusia kraje tak „wielgachną” pajdę chleba?  
— A dla ciebie, synku.  
— Phi, tak mało?  
—o—

#### TAJEMNICE ANATOMJI.

— Wymień mi, z jakich kości składa się twoja czaszka.  
— Zaraz, proszę pana profesora... Ja wiem, ja mam je wszystkie w głowie, tylko w tej chwili nie mogą mi przyjść na język.  
—o—

#### W SZKOLE.

Nauczyciel: — Z czego się śmiejesz, Czytalski?  
— A bo tu w OPIEKUNIE „stoi”: „Uśmiechnij się!”  
—o—

#### ZNAJOMOŚĆ RZECZY.

Nauczyciel: — Określ mi drogę, jaką obrałbyś sobie jadąc do Brazylii?  
Uczeń: — Z Wąbrzeźna pojechałbym wprost do Gdyni, tam wsiadłbym na okręt!  
Nauczyciel: — A dalej?  
Uczeń: — Resztę zostawiłbym już kapitanowi okrętu, który przecież lepiej zna drogę aniżeli ja i pan profesor razem!

— Co brzydkiego popełnili synowie Jakóba?

— Sprzedali swego brata Józefa.  
— Doskonale. A za ile go sprzedali?  
— Za dwadzieścia srebrników.  
— Bardzo dobrze. No, a powiedz mi, na czym polegał brzydki postępki braci Józefa?  
Cisza. Nauczyciel ponawia pytanie. Wreszcie po chwili pada odpowiedź:  
— Oni go sprzedali za tanio!

### Nasza skrzyneczka

— WR. PR. List oraz korespondencję otrzymałem. Z nadesłanych prac nie wszystko będzie mogło być zamieszczone. Z biegiem czasu może skorzystamy z pozostałego materiału. Dlaczego to ukrywanie się pseudonimem? Przesyłam pozdrowienia!

— Halo! Szkoła powsz. w Golubiu! Otrzymałem ładny liścik z podpisami kilku uczeni tej szkoły. Nie podaliście jednak klasy, a szkoda! Bardzo mnie cieszy, że spodoba się Wam OPIEKUN coraz bardziej. Za pozdrowienia dla P. Wydawcy — Wujaszek ma polecenie przesłać Wam serdeczne pozdrowienia i tysiąc słodkich całuszków. Bywajcie zdrowi! Pozdróćcie od Wujaszka Waszych kochanych Rodziców!

— H. K. Silbernagel. — Poprzednio nadesłana praca słaba — może pójdzie, ale po przeróbce. Druga rzecz idzie dzisiaj. — Wyjątków nie robimy, lecz każdy, kto do skrzyneczki napisze, witany jest serdecznie; dlaczego te obawy? — Łączę pozdrowienia!

— Bobińska J. Wierszyk twój już poszedł do poprzedniego numeru. Jakże się wiesz obecnie w gimnazjum? Prawda, że nauki moc, a czasu coraz mniej, bo tak dużo się go traci na tych ciągłych dojazdach. Czy stale będziesz dojeżdżał z Lisewa? Ukłony dla mamusi! — Cześć!

— Z. Ł. — Osieczek. Bardzo ucieszył mnie twój pierwszy liścik, choć taki krótki; no, ale już teraz to chyba zostaniemy przyjaciółmi nieprawdaz? Co robisz obecnie, a do której to klasy już chodzisz? Czekam Twego liścika, ale długiego, tak ze 4 strony. A teraz ściskam twą małą dłoń i przesyłam pozdrowienia!

— Jerzy R-ski Wąbrzeźno. — Wdzięczny jestem za słowa uznania dla „OPIEKUNA”, a za mile słowa pod moim adresem serdecznie dziękuję. Kącik młodego poety zainteresował ciebie — zapewne skorzystasz z tych króciutkich lekczynek. Ukazywać się będzie ten dział w każdym numerze. Przyjmij mile pozdrowienia i bratni uścisk dłoni.

Wszystkim moim kochanym Czytelnikom i Czytelniczkom uprzejmie przypominam, że kończy się miesiąc wrzesień; kto zatem zapomniał odnowić przedpłatę na „Głos Wąbrzeski”, niech to uczyni czempredzej, by nie mieć zwłoki w dostawie gazety. Wujaszek prosi Was, byście raczyły o tem przypomnieć Waszym kochanym mamusiom i tatusiom.  
Żegnam i — do widzenia za tydzień!

Wujaszek.